



**XXVIII**  
**Ogólnopolski Konkurs Literacki**

**POEZJA I PROZA**

**2022**



# O LITERACKI LAUR ARBUZA

XXVIII Ogólnopolski Konkurs Literacki

II Liceum Ogólnokształcące  
im. Stefana Żeromskiego  
w Tomaszowie Maz.

Tomaszów Mazowiecki 2022

Projekt okładki: **Jolanta Karwasik** – nauczyciel II LO  
Projekt logo: **Sławomir Wójcik** – absolwent II LO  
Opracowanie tekstów: **Adrianna Jachimowska** – nauczyciel II LO  
Skład, łamanie tekstu i druk: **AB DRUK**

Publikacja zawiera wszystkie nagrodzone i wyróżnione prace  
XXVIII Ogólnopolskiego Konkursu „O Literacki Laur Arbuza”

© Copyright by *II Liceum Ogólnokształcące*  
Tomaszów Mazowiecki 2022. Wydanie pierwsze

\*\*\*

Patronem medialnym od początku istnienia konkursu jest Redakcja Tomaszowskiego Informatora Tygodniowego. Nagrodzone teksty drukowane są w świątecznym numerze gazety.

Tegoroczna edycja konkursu odbywa się pod patronatem: UNESCO, Starosty Powiatu Tomaszowskiego, Prezydenta Miasta Tomaszowa Mazowieckiego, kina „Helios”, którzy ufundowali nagrody. Również Rada Rodziców przy II Liceum Ogólnokształcącym w Tomaszowie Mazowieckim zadbała o nagrody.

Honorowy patronat nad konkursem objął Łódzki Kurator Oświaty.

\*\*\*

Na konkurs wpłynęły 63 prace, w tym 33 w kategorii poezji i 30 pisanych prozą. Uczestnicy to głównie uczniowie szkół ponadpodstawowych, ale też uczniowie szkół podstawowych.

Nadesłano prace m.in. z: Bielaw, Ciebłowic Dużych, Częstochowy, Gawron, Gdańska, Kadzi, Katowic, Komorowa, Korszy, Łowicza, Nowych Zdun, Opoczna, Pabianic, Pajęczna, Piotrkowa Trybunalskiego, Piotrowic, Sługocic, Stanisławowa Pierwszego, Starej Wsi, Tomaszowa Mazowieckiego, Tych, Ujazdu, Warszawy, Wielkiej Woli, Wręczyc Wielkich, Wykna, Wyr, Zielkowic, Żorów, Żywocina.

\*\*\*

Komisja konkursowa obradowała w składzie:

- Ewa Adamska – bibliotekoznawca, wieloletnia dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Tomaszowie Mazowieckim;
- Sławomira Mrozowicz – teatrolog, dyrektor Gminnego Ośrodka Kultury w Kleszczowie;
- Urszula Stefaniak – nauczyciel polonista;
- Adrianna Jachimowska – nauczyciel polonista;
- Krzysztof Kleszcz – poeta, autor książek poetyckich: „E”, „Przeciaki z góry”, „Pański płaszcz”, nagrodzony w konkursie Poemat Czterech Kultur (2017), wyróżniony w konkursie Złoty Środek Poezji za debiut poetycki (2009).

Komisja po przeczytaniu prac, bardzo żywej i długiej dyskusji przyznała następujące nagrody i wyróżnienia:

W kategorii poezja:

- I miejsce – godło Miśka – Oliwia Skaźnik, I Liceum Ogólnokształcące z Oddziałami Dwujęzycznymi im. Karola Miarki w Żorach;
- II miejsce – godło Annabel Lee – Maria Rogaczewska, Liceum Ogólnokształcące „THOMAS” w Tomaszowie Mazowieckim;
- III miejsce – godło A. – Arwena Stobińska, II Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Żeromskiego w Tomaszowie Mazowieckim;
  - wyróżnienia:
- godło Coeur – Alicja Czubowska, I Liceum Ogólnokształcące im. Wojciecha Kętrzyńskiego w Kętrzynie;
- godło Poranna Rosa – Wiktoria Adamczyk, II Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Żeromskiego w Tomaszowie Mazowieckim.

W kategorii proza:

- I miejsce – godło Anastazja – Karolina Małyшек, II Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Żeromskiego w Tomaszowie Mazowieckim;
- II miejsce – godło Siódma7 – Szymon Czardybon, Zespół Szkół nr 1 w Tychach;
- III miejsce – godło Teddy Bear – Nadia Bartmańska, Zespół Szkół Ponadpodstawowych nr 2 im. Stanisława Staszica w Tomaszowie Mazowieckim,
- III miejsce – godło Eve – Adam Krześlak, I Liceum Ogólnokształcące im. Jarosława Dąbrowskiego w Tomaszowie Mazowieckim;
  - wyróżnienia:
- godło Concordia – Agata Pikoń, III Liceum Ogólnokształcące im. Adama Mickiewicza w Katowicach;
- godło Joanna Wiktorowicz – Joanna Kościecha, I Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Żeromskiego w Opocznie.

Wszystkim autorom prac  
serdecznie dziękujemy

# Poezja







*I miejsce (poezja)*

**Oliwia Skaźnik**

**(godło: Miśka)**

**I Liceum Ogólnokształcące  
z Oddziałami Dwujęzycznymi  
im. Karola Miarki w Żorach**

\*\*\* [to ja]

to ja  
poeta hamlet

wlokący się pół metra  
za rzeczywistością

wiecznie rozdarty od zewnątrz  
i na wewnątrz

bardziej kruchy niż porcelana  
jak na tego hamleta przystało

hamlet poeta

znowu świat zabił mu ojca  
znowu go dotknął za mocno  
znowu broń musi wyciągać

słowa słowa słowa

poeta hamlet

idzie w nie uzbrojony przez dzień  
posępny i obecny  
aczkolwiek bardziej nieżywy  
niż na co dzień

i słucha jak mu szczękają koło ucha  
uważa żeby z nich nie wypalić  
w nużących rozmowach  
o przebrzydłej prozie

i sam po godzinach już nie wie  
czy to ludzie głos sumienia  
czy jego wyuczone szaleństwo  
każą czekać z zemstą do późna

hamlet poeta

dopiero za granicami snu  
za zasłoną z księżycą  
wyciąga broń  
pozwala jej błyszczeć

błyszczyć naprzemiennie z oczami  
z czołem rozpalonym strategią  
idealnego odwetu

wpatruje się w to błyszczenie słów  
chwije się między nimi  
i między strofami strategii  
i między migotaniem  
i między obłąkańczymi szeptami

siebie  
zastygłego ze słowem w ręku  
i w myślach  
poety hamleta

nagiego i nieskrwawionego  
zastanego przez świt  
i skompromitowanego  
swoim niezdecydowaniem

hamlet poeta

niewinny chociaż winowajca  
znowu nic nie napisał  
znowu nie strzelił do świata  
znowu sam siebie skazał  
na wyławianie

poeta hamlet

idealnie rozdarty  
od zewnątrz i na wewnątrz

użyteczny wyłącznie dlatego  
że tylko on wie  
jak długa jest droga od wiersza do samobójstwa

hamlet poeta

najlepiej zrobi  
jeżeli cicho odejdzie  
i zostawi po sobie krótkich pięć słów

niech one żyją za niego

## Carpe diem

W tym wierszu mieszka chwila  
Złapana jak przed wiekami ktoś kazał

Jest to mała jasna kulka  
Świeżo co urodzonego światła

Między jego promieniami  
Spacerują strzępy spalonego nimi snu

Ich prostemu marszowi  
Grają krzywe chrząknięcia

Chwiejne od bólu  
Uderzonego sierpnem gardła

Otulają je jak kocyk myśli  
Które go nigdy nie ogrzeją

Już zawsze będzie chore  
Już zawsze będzie boleć  
Już zawsze będzie patrzeć w ranne światło

Bo zostało schwyczone w małą kulkę  
Zwaną chwilą  
Osadzoną w domu  
Zwanym wierszem

W którym szepcze potulnie jak ktoś kazał  
Carpe diem

## Lekcja gramatyki

współczesnemu człowiekowi  
dużo łatwiej posługiwać się czasownikami  
w aspekcie dokonanym

popatrzcie tylko Państwo  
jak łatwo jest się dziś na kimsz położyć  
a jak trudno na kimsz polegać

## II miejsce (poezja)



**Maria Rogaczewska**  
(godło: Annabel Lee)

**Liceum Ogólnokształcące „THOMAS”**  
**w Tomaszowie Mazowieckim**

### **Europida**

Monsieur pokorny

Wycofany, skromny  
Na piazzie jest jak w saunie  
Latem bywa skwarnie  
Kontempluje widok  
Bo obok w bezruchu,  
Na kocu, na brzuchu  
Wróżka bez skrzydełek  
Pobiera słonecznie kąpiele

Monsieur cierpliwy

Cichy, powściągliwy  
Gabinet jak komnata  
Ukryta dla świata  
Miejsce idealne,  
By lustrować pannę,  
Gdy usta szkarłatem  
Maluje na co dzień  
Rano, w południe, o słońca zachodzie

### Monsieur zraniony

Uciech pozbawiony  
Ekstaz urojonych  
Zamiarów posiadacz  
O jakich się nawet  
Nie powinno gadać  
Lepiej wziąć i zbadać  
Spisuje swe myśli  
Czyli wszystko to, co nocami wyśni.

### Nimfa

Lilii zapach, ust szkarłat  
Amerykanka i francuski wariat  
Opalone ramiona, straciły swą barwę  
Zniknął odcień miodu, teraz są szkaradne  
Laleczka z porcelany ma małe pęknięcia  
Wyłącza swój umysł, gdy słyszy stęknienia  
I zamyka oczy, musi tylko czekać  
Aż nazbiera monet i może uciekać  
Tak mało brakuje, cel jej upragniony  
Stać się może realny, dotąd niesprawdzony  
Albo jej się uda, albo wróci szybko  
Znów będzie jego małą dziewczynką.

## Aktoreczka

Światła

Kamera

Akcja

Gwiazda kina

Rdzawe włosy upina

Dziewczyna z przedmieścia

Po przejściach

Szuka swego wianka

Dziś kolejna randka

Kino albo bar

Namiętności żar

Smętny wzrok

Oddała się w bok

Za garść marnej forsy

Kolejne fotosy.





*III miejsce (poezja)*

**Arwena Stobińska**  
(godło: A.)  
**II Liceum Ogólnokształcące**  
**im. Stefana Żeromskiego**  
**w Tomaszowie Mazowieckim**

**Ofelia**

utopiłeś Mnie Hamlecie  
stałam przed Tobą a Ty Mnie topiłeś  
miałam wrażenie że chłonałeś chwile  
w których nie mogłam złapać ani tchu  
ani Twej dłoni

usta miałam pełne wody i rozgoryczenia  
a takich ust nigdy nie chciałeś  
głowę Mą trzymałeś pod powierzchnią  
bardzo długo

ta wierzba nad Nami płacząca  
wiedziała o Nas od dawna  
wyrwałeś Mi z rąk stokrotki  
i dałeś Mi nimi w twarz  
powyciągałeś z włosów fiołki  
i je zjadłeś

utopiłeś Mnie Hamlecie  
a teraz bawisz się Moją czaszką  
wciąż niezdecydowany

## Fiołki

Tragedia to niesłychana!  
Pani wymyśliła Pana!  
Wydrapała Go sztuką w kosmosie  
I tak wymyślony pomaga Jej zasnąć

Liryczność to niespisana!  
Pani nie chce żyć bez Pana!  
Zadedykowani sobie jak księga  
Szukają Siebie między wierszami

On odbija się w Jej oczach jak w lustrze  
Ona każdej nocy jest na końcu Jego języka  
On szczerze zasmucony faktem  
Że ona w każdej sekundzie oddycha wizją

Tylko w magiczności stykają się ze Sobą  
Tylko nocami dusza do duszy przyciśnięta  
Tylko na chwilę bo za chwilę nastanie ranek  
Co złamie im serca i otworzy oczy

Dryfują po obrzeżach świata  
Dłoń w dłoni krok w krok myśl w myśl  
Nierealność uderza w Ich istnienie  
Gdy rozplývają się nad Sobą jeszcze bardziej

Maniera to dawno niewidziana!  
Pani jak w wiosnę wpatrzona w Pana!  
Panie ocal Jej jesień i słońce  
I gwiazdy i liście i wizje błyszczące

Dryfując po obrzeżach świata  
On powoli i bardzo ostrożnie  
Wyciąga Jej fiołki z włosów  
Jakby robił to po raz pierwszy

Niezwykłe poruszeni dotknięci  
Przecierają lustra oczy  
Krzyczą wrzeszczą szepczą do nieba  
Oddech za oddechem się urywa

Tragedia to niesłychana!  
Pani napisała Pana!  
On żywy w jej piórze i duchu  
Prowadzi Ją ku Sobie



wyróżnienie (poezja)

Alicja Czubowska  
(godło: Coeur)  
I Liceum Ogólnokształcące  
im. Wojciecha Kętrzyńskiego  
w Kętrzynie

## Paradoks artystyczny

Fascynuje nas Piękno  
Letniego poranka  
Kłosem złotych zbóż  
Odbija ciepło promieni

Z czasem poranek stał się  
Zszarzały  
Nie jesienny  
Zwyczajny

Pięknem nie chcemy  
Nazywać świergotu ptaków  
Podziwiamy artystów

Typowe gwiazdy  
Co od rzemieślników  
Oddzielają lata świetlne  
MY normalni szarzy  
Barwne płótna oglądamy  
I choć upaja nas  
Szara ciekawość  
Spoglądamy w mrok  
W kolorowej folii

Niebiański akryl wolno splywa  
Pod wpływem natchnienia  
Równie niebiańskiej morfiny  
Z Boską mocą



wyróżnienie (poezja)

**Wiktoria Adamczyk**  
**(godło: Poranna Rosa)**  
**II Liceum Ogólnokształcące**  
**im. Stefana Żeromskiego**  
**w Tomaszowie Mazowieckim**

## **Nimfa**

Postać z jutrzeńki ulepiona tańczy na tafli jeziora.  
Wokół niej wirują sznury pereł kryształowych,  
A nogi jej płaczą się między obłokami mętными.  
Nad nią zwisają zasłony pajęczyn koronkowych,  
A wokół milczenie.  
Kredowe lica okalają srebrzyste włókna kądzieli.  
Falujący duch na wpół żywy i umarły.  
Uśmiechem lekkim z otoczeniem się dzieli.  
Lustro wody chciało oddać wszystko, malując na swej tafli to widowisko,  
Lecz zburzyły je figlarne okręgi.  
Potem spojrzała na mnie i dłoń wyciągnawszy spytała, dlaczego nie tańczę.  
A widząc strach w moich oczach odparła,  
Że też kiedyś tańczyć się bała i lękiem przepelniona wpadła w ramiona jeziora.  
Teraz obaw pozbawiona śmieje się każdego wieczora.  
A jej suknia z światła upleciona unosząca się nad taflą jeziora,  
Rankiem znika.

## Mgła

Uchwycić to, co nienamacalne,

Białą mgłę, rozłożoną na polu przed lasem,

Tą, którą chcesz dotknąć czasem,

Ale w dłoni zniknie.

Moment, w którym rosa ucieka po liściu przed dotykiem palca.

Pochłonąć pełnią umysłu chwilę, która przemija i już nie wraca.

Bo przecież czasami chciałabym przez wieczność patrzeć na kruki odlatujące z drutów.

Czymś wielkim jest umieć czerpać z tego, co przynosi kolejny krok ubłoczonych butów.

A czasem myślę, że moje bywają zbyt czyste i nieruchome.





# Proza





*I miejsce (proza)*

**Karolina Małysek**  
(godło: Anastazja)  
**II Liceum Ogólnokształcące**  
**im. Stefana Żeromskiego**  
**w Tomaszowie Mazowieckim**

## **Ideał sięgnął bruku**

Nie wiem, ile jestem wart. Może dwie kajzerki, sok i baton dla wnuka, bo właśnie na to wymieniła mnie moja pierwsza właścicielka. Później długo leżałem pośród innych przedmiotów nieznaną swojej wartości, aż wyjęto mnie i przekazano do kolejnej ciepłej dłoni, która wsadziła mnie do ciasnej kieszeni. Tym razem był to jakiś młody chłopak, który dwa tygodnie później podskoczył na mój widok i zacisnął na mnie palce swojej dłoni w triumfalnym geście, gdy wypadłem z tej właśnie kieszonki jego spodni. To był pierwszy raz, gdy ktoś ucieszył się na mój widok. Może byłoby to miłe uczucie, gdyby nie fakt, że dzień później oddał mnie koledze, któremu był winien pieniądze. Ile? Sam chciałbym wiedzieć. Niedługo później kolega zabrał mnie nad morze i oddał za loda w wafelku. Wiem, bo trzymał mnie w spoczonej, wyciągniętej dłoni, nie mogąc doczekać się upragnionej słodyczy. Dobrze wykorzystałem ten moment i rozejrzałem się ciekawie. Maszyna do lodów, rozbiegane głośnie dzieci, piach... To wtedy od głośniejszej pani przy ladzie dowiedziałem się, że nad polskim morzem jest drogo. Może i racja, bo w zamian za mnie chłopiec nie dostał tych drobnych monet, których brzęk towarzyszył wcześniejszym wymianom. Znow przeleżałem w ciemności, aż złapały mnie długie czerwone paznokcie i oddały mnie innym, tym razem złotym. Druga głośna pani oddała mnie swojej córeczce.

– No dalej, wrzuc go! – zawołała, wyciągając telefon.

– Jeszcze nie mam życzenia..! – odparła dziewczynka i przyjrzała mi się bardziej. Zaraz zacisnęła powieki i puściła mnie w przestrzeń. Gdybym mógł, zapewne bym wtedy krzyczał, ale jedynie obracałem się w powietrzu i z pluskiem wylądowałem w wodzie.

Nie mam pojęcia, ile tam leżałem, ale to był najlepszy czas w moim życiu. Słyszałem ciche pluski i widziałem więcej niż kiedykolwiek. Nade mną rozciągał się błękitny bezkres, a od niego oddzielała mnie tylko przezroczysta tafla wody. Ujawniała się tylko co jakiś czas, migocząc złotymi przebłyskami. Nie wiedziałem, czy jestem tam jedyny, czy może ludzie nagminnie wrzucają nas do wody, myśląc życzenia. W każdym razie, leżąc tam, czułem się tak błogo, że miałem nadzieję na to, że życzenie tej dziewczynki spełni się, choćby nie wiem co.

Jednak jej życzeniem najwyraźniej nie było to, żebym został tam na zawsze. Nie wiem, jak długo leżałem otoczony błyskami i lekkimi prądami, ale gdy niebieska przestrzeń nade mną zaczęła stawać się fioletowa, szara, a później czarna i zniknęła unosząca się nade mną przezroczysta tafla, poczułem się nieswojo. Czułem ją wokół siebie, ale brakowało mi jej widoku, jej cichego pluskania. Zamiast tego zapanowała dźwięcząca cisza, która do bólu przypominała tę z fiskalnych kas, głuchą i samotną.

Z ciszy i mroku nagle wysunęła się ręka, która wpadła w taflę i zgarnęła mnie w twardą pięść. W jednej chwili zostałem wyłowiony i wrzucony do worka. Czułem ucisk innych przedmiotów do mnie podobnych. Zostałem przysypany jeszcze paroma garściami rzeczy wyłowionych później, a następnie wór związano i poniesiono w świat. Gdy kolejny raz ujrzałem światło dzienne, leżałem na stole.

– Strasznie marny ten dzisiejszy rzut – syknął jakiś młody chłopak.

– Dziwisz się? Ludzie już nie są tacy jak kiedyś. Liczą każdy grosz, a my nawet nie mamy na papierosy – odparł drugi. Był o wiele starszy. Stał przy drzwiach i głaskał się po brodzie.

– Jutro obskocz więcej fontann w centrum, bo z matką nie damy rady was wykarmić w tym miesiącu – dodał i wyszedł, nie zamykając jednak za sobą drzwi.

Zerknąłem na tego chłopca. Dotąd w milczeniu układał stosiki z groszy, jak to nazwał tamten mężczyzna, ale teraz przestał i wpatrywał się w stół z krzywym uśmiechem. Nagle zamachnął się i stracił wszystko z biurka, włącznie ze mną. Grosze rozsypały się z brzękiem po pokoju, zagłuszając szloch chłopaka.

Ja wylądowałem pod dywanem. Nie znalazł mnie, kiedy zbierał swoje zdobycze na kolanach. Nie znalazł mnie też nikt inny, gdy kolejne tygo-

dnie, dzień w dzień, ktoś liczył skradzione z fontann pieniądze. To wtedy dowiedziałem się, że leżałem w fontannie. I że jestem pieniądzem. I że za pieniądze kupuje się piwo, płaci rachunki i przekupuje młodsze rodzeństwo. Tyle dowiedziałem się w trakcie pobytu pod dywanem. Wreszcie znalazł mnie młodszy brat złodziejaska i bez namysłu oddał za paczkę chipsów.

Znów stałem się resztą za czyjeś zakupy. Teraz była to babcia, która kupiła kostkę masła i dostała mnie w zamian wraz z kostką, która skończyła się po tygodniu. Ta babcia wrzuciła mnie do skarbonki. Wiem, bo często chwaliła się nią odwiedzającym ją przyjaciółkom. Skarbonka stała koło czegoś, co codziennie hałasowało głośno i nieprzerwanie.

– Inflacja sięga czterestu procent... Co zrobi rząd, żeby Polakom żyło się lepiej... Dziś w programie rozmowa z gościem specjalnym... – dudniło pudełko przez ceramiczne ścianki na przemian z cichymi westchnieniami i sapaniami babci.

Nie mam pojęcia, ile czasu przyszło mi spędzić w tym ciasnym przedmiocie. Dodatkowo ciągle upychano kolejne pieniądze, aż skarbonka pękła. Wtedy też babcia starannie nas posegregowała, policzyła i uśmiechnęła się szeroko. Dwa tygodnie później wręczyła mnie studentowi ze swojej kamienicy w podziękowaniu za pomoc w spakowaniu rzeczy do przewodniczki. Student odmawiał, ale kiedy odeszła, popatrzył na mnie i się skrzywił. Nie ucieszył się na mój widok tak, jak kiedyś zrobił to chłopczyk, gdy wypadłem z kieszeni zapomnianych spodni.

– Piątek... – syknął i odetchnął ciężko – Teraz nawet chleba za to nie kupię – mruknął do siebie i zbiegł po schodach. – Staruszka chociaż sobie wyjedzie. Do córki... Do Włoch... A ja? – warknął, obracając mnie w dłoni. – Ja to najwyżej... – mruczał tak, aż nagle się zatrzymał. Obrócił głowę w bok i chwilę się czemuś przypatrywał, aż w końcu pokręcił głową i ruszył w tamtym kierunku. – Proszę – powiedział cicho i rzucił mnie, a ja głucho obłem się o ścianki jakiegoś plastikowego kubeczka.

– Dziękuję – odpowiedział ochryply głos, a kroki studenta się oddaliły.

Popatrzyłem na mojego nowego właściciela. Był to stary mężczyzna z długą, siwą brodą. Miał na sobie wyświechtaną, brudną czapkę i opaskę na oku.

– Nic za ciebie nie kupię – szepnął. – Ty mnie nie wyleczysz.

Może dlatego pozwolił, żebym wylądował na bruku, gdy jacyś chuligani wytrącili mu kubeczek z ręki. Potoczyłem się w dół chodnika, aż wreszcie spocząłem w towarzystwie piachu, soli i błota.

Stamtąd już nikt mnie nie podniósł. Ludzie mijali mnie i mierzyli wzrokiem, ale nikt nie chciał mnie ze sobą zabrać. Patrzyłem na ich szare mizerne twarze i zastanawiałem się – Czy to dlatego, że mieli tak dużo, ja byłem zbędny, czy już wtedy wątpili w moją wartość?



**Szymon Czardybon  
(godło: Siódma7)  
Zespół Szkół nr 1 w Tychach**

## **Żebro, które stało się Ewą**

Czasami się go nienawidzi. Patrzy się w lustro, kawałek wytopionego w płomieniach i żarze piasku, któremu ktoś w ramach chorego żartu dał zestaw uszu i ust, dzięki którym obserwować i peryfrazować może wszystko, co stanie na jego drodze. Bezrozumne drobiny startego kamienia. Gapi się na niego, próbując znaleźć miejsce, w którym chowają się oczy tego wynaturzenia; ochotę ma się w nie zajrzeć, wzrokiem pełnym wyrzutu i złości, tej z rodzaju niepoprawnie ułożonych, wybuchających na powierzchnię po długim okresie gromadzenia się gdzieś pod tą przebrzydłą skórą. Z tą nienawiścią to oczywiście nie o lustrze, chociaż to pośrednio partner w zbrodni, lecz o ciele. Kupie mięsnej masy, która uformowana w brzuchu nieświadomej jeszcze niczego matki, owinęła się niezdarnie wokół rusztowania z trzeszczących przeraźliwie kości. Rozpada się ono już od pierwszego dnia, w którym zaznać mu było dane suchego, ciepłego powietrza wypełniającego szpitalną salę w tamtym czerwcowym dniu, w którym zaczęła się moja historia. To był pewnego rodzaju szczyt, z którego stacza się teraz to marne koło wzrastających nieustannie problemów i wymagań; to boli, a to nie daje rady sięgnąć tam, gdzie powinno. W głowie niekiedy dźwięczy mi głos dawnego wuefisty, który w swej wieloletniej mądrości i doświadczeniu powiedział mi, że gdy skończę szesnaście lat, rusztowanie to, na którym opiera się cała ta tandetna scenografia, załamie się i upadnie, jak starożytna świątynia powalona przez bomby turbulentnej wojny. Mając wtedy osiem, może i dziewięć lat, wizja podwojenia ówczesnego wieku wydawała mi się astronomicznie wręcz daleka; jak kolonizacja Marsa, możliwa, lecz nieprawdopodobna za naszego, krótkiego w skali kosmosu, życia. Nie odpowiedziałam, spuszcza-  
jąc wzrok na brudny chodnik. Podniosłam go dopiero prawie dziesięć lat później, a spojrzenie odwzajemniło już tylko moje własne odbicie.

Zaczyna nienawidzić się też języka; nie mówię o wystającym z ust organie, lecz słowach układających się w całe kaskady informacyjnego bełkotu w formie zdań pojedynczych lub złożonych. Równoważniki zdań to oczywiście również opcja. Nie cierpi się go za brak inkluzywności, za to, że wpycha cię brutalnie do ciasnego niezwykle pudła, do którego ty dobrze wiesz, że się nie zmieścisz. Pierwsze męskie „-łem” boli tylko trochę, tak jak bolą mięśnie dopiero chwilę po rozpoczęciu tej długotrwałej tortury. Lecz każde kolejne dokłada jakby sekundy do światowego zegara, popychającego bieg rzeczy do przodu, w odwiecznym, nieskończonym maratonie. Kości płoną żywym ogniem, a beznadziejna pustka czerni, którą to ciemne więzienie tworzy przed oczami, wpycha do nich swoje brudne paluchy i każe na siebie patrzeć; staje się to czasami wręcz nie do zniesienia, jakby oprócz tego, że uciskające ściany tak po prostu istniały, ktoś jeszcze, dodatkowo, pchał je uparcie ku kłębkowi naszej skóry i kości, w niecnym celu dołożenia dodatkowego cierpienia. A co najciekawsze, że katem zwykle jesteśmy my sami, co prawda w sytuacji kopania własnego grobu, gdy zimny metal broni oprawcy uciska w skroń, lecz i tak odciski palców na stanowiących karę deskach wskazują bezsprzecznie na nas samych. Stojemy w takim sklepie, wzrok sprzedawcy jest już nieco niechętny, trochę wrogi, minę ma naburmuszoną, a powiewające na naszej głowie, długie włosy jakby dokładały się tylko do ognia tej subtelnej frustracji. Gardło się zaciska, mamrotamy beznadziejnie to „-łem”, bo jego spojrzenie inaczej stałoby się silniejsze od padającego na łeb kowadła. Słowo wyszło cicho, nieśmiało, a my chcemy zapaść się pod ziemię. Język polski, w upersonifikowanym wcieleniu gigantycznego słownika, krzyczy na nas ostrym głosem, żebyśmy kopali ten grób nieco żwawiej; nie ma on przecież całego dnia.

To nie tak, że płęć się zmienia. Że podchodzi się do automatu z genitaliami i za pomocą kilku przycisków oraz garści monet wybiera nowe, udaje się do przebieralni, po czym wychodzi z uśmiechem satysfakcji wymalowanym szeroko na twarzy. Płęć tak naprawdę zawsze taka była, po prostu wciskano nas w to cholerne pudło tak długo, że nawet myśl o rzeczywistości pozbawionej jego obecności nie mogła zaistnieć; czuło się od dawna, od dziecka, że coś jest nie tak, że nie czuje się tej przynależności, że ciało, które rzucało nam na pożarcie przez lustro,



jest jakieś takie niedopasowane, inne, niepoprawne. Brakowało tylko słów, którymi można to było wyrazić. Czuło się dyskomfort, gdy czytało się o wielkich bohaterach wojen, legendarnych sportowcach, wiernych mężach i doskonałych ojcach. Myśl, że kiedyś użyta będzie na naszym plastelinowym istnieniu jedna z tych form była dość niepokojąca, zniechęcająca. Trochę nie pasowało się do innych, trochę jakby wystawało się spośród innych, dumnie wypiętych, płaskich kompletnie piersiowych klatek w chłopięcej szatni. I trochę się nie rozumiało. Trochę się gubiło, szlajając się bezwiednie po krętym labiryncie samoodkrycia, nie wiedząc za bardzo, gdzie iść. Bo tu na drzwiach jednej ze ścieżek mięśnie, niebieski, piłka, piwo i niby się tak uczyło przez całe życie, lecz nie pasuje się do tego kompletnie. Iść więc, czy nie? Ja poszłam, nieco ze strachu, nieco chcąc pozostać w tle. Lecz im dalej w las, tym bardziej wątpiłam, czy to dobra droga. Patrzyłam na boki, tam, gdzie wiodły pozostałe. I zaczęłam zazdrościć. A zazdrościło się prawie wszystkiego. Ciała, bo te krągłości, a ja patrzę i jedyne co widzę to pryzmat kompletnie płaski, jak wyłożony kostką brukową chodnik, na którym śpią przez noc wyganiane spod kołder sny; głosu, bo aksamitny, przyjemny, delikatny, czasami tylko agresywny i władczy; pozycji, bo one podobno mądrzejsze, miłsze, z uśmiechami, które wykrzywiały przyjazne twarze o wiele przyjemniej niż te wyrastające na chłopięcych mordach – dostawały fory, robiły mniej, a szkolne boiska podczas testów w porównaniu zaznawały ich jedynie przez jakąś część „męskiego” czasu. A zresztą, tak strasznie wzburzało się, że one mogą liczyć na rycerza na białym koniu, który pojawi się przed ich wzniesionym ze złotych cegieł posągami, a ja co najwyżej nieporadnie mogłam zakładać strój... Chciało się choćby kropelki soku tego zakazanego owocu, marzyło się o świecie, który mógłby, chociażby na dzień lub dwa, zmienić męczyznę w kobietę. Myślało się o tym długo, lecz po części nawet przed sobą w pewnym sekrecie, bo wstyd przecież choćby przyznać się do czegoś tak odstającego; zadreślało się, w poszukiwaniu odpowiedzi. Aż przychodził moment, w którym delikatna skorupka niewinnej nieświadomości pękała, powoli, powiększając stopniowo rosnącą nieustannie rysę, aż stała się ta obwodem, a tarcza, z pewną uległością, trzaskała, sypiąc swe rozlazłe strzępki pod stopy obrońcy.

Stało się to u mnie osiemnastego dnia szóstego miesiąca, nieco po północy, przetaczając się bezwolnie z wieku końcówki siedemnastki, aż do tej, niezwyklej, osiemnastki. Jakby ponowny poród, mózg zgnieciony i uformowany ponownie, rozdarte od kości ciało zastąpione chłodnym metalem nowości; ważna i długa to była noc, a spędziłam ją w aucie, gapiąc się na świat malowany za jego szybą, nieruchomo, w oczekiwaniu, w przededniu wyjazdu, w momencie oczekiwania na rychły początek wakacji. Nie pasowałam na mężczyznę, nie przyznawałam się do bycia nim i sama koncepcja użycia wobec mnie tego terminu sprawiała pewien dyskomfort; rozłączenie między mną a wszystkimi tymi postaciami, które stawia się na swego rodzaju wzorcowym piedestale, była niemożliwą praktycznie przepaścią. Nie rozumiałam nigdy głębiej żadnego mężczyzny, bo w oczach każdego z nich widziałam pewien mur, na którego grzbiecie rozpięty został zabijający fantazję, kolczasty drut. Nieco zajęło mi zrozumienie tego, ale kiedy to już się stało, poczułam słodkawą ulgę, tę z rodzaju odnalezienia źródła bólu, który męczył nas już którąś godzinę, lecz ze swoimi korzeniami krył się sprawnie w ciemności cieni – wygrzebałam tamtej nocy drzazgę, lecz nie miałam nawet jak zagoić rany, która powstała w miejscu jej niedawnego pobytu. Patrząc w lustro, widziałam skórę, która rozerwana była i uciśnięta, przesyta, wzgardzona ostrością kła, który zatopił się w jej krwawej fakturze. Tak, było to nieco odrażające, wymagało też z pewnością opieki, lecz nie to niepokoiło najbardziej. Odsunięty od otworu grotu głaz ukazał pustkę, która w niepohamowanej swej obecności panoszyła się, niechciana, pośród jej ścian. I to ta nieobecność, ten kompletny brak, powodem był najgorszych obaw.

Śniło mi się kiedyś, że straciłam rękę. Obcięta, oderwana została ona od mojego ciała, przy przedramieniu, pozwalając śnieżnobiałej kości przenikać czasami zasłone mięśni i skór. Czułam ją jednak dalej, wciąż łapałam przeróżne rzeczy, patrzyłam na dłoń, a ta raz była, a raz zniknęła. Pewne jednak było, że zniknęła, lecz mózg, w swej niepohamowanej iluzji, ubzdurał sobie, że ta wcale mnie nie opuściła. Żyłam tak całą treść tego snu, śniąc na jawie o przywróceniu mi ciała, które bezpowrotnie straciłam; budząc się i znów w nań zapadając, w nieskończonej kaskadzie kłamstw i iluzji. Wydawało mi się czasami, że ręki tej nigdy nie straciłam, a raz, że nigdy jej, w pierwszym miejscu, nie miałam. Nie pamiętam już, co po-

pchnęło mnie ku tej spirali, lecz zapadły mi w myśl głęboko ostatnie słowa, którymi uszyta była faktura tej opowieści – nie pójdę z tym do szpitala, nie poproszę o proteżę, bo to moja szansa, by cierpieć i wznieść się na tym bólu ku poprawie, ku przepięknej światłości. Patrzyłam na płaczącą wciąż krwią ranę i do moich myśli śmiała się przemknąć ta mówiąca, że dobrze, że cierpię – niech i tak będzie, bo przysłuży się to sztuce. Obudziłam się, a był to przeddzień kolejnego, ostatniego już szkolnego roku. Pisać chciałam ustami, a grafikę tworzyć tą pozostałą ręką; wizja ta przyprawiła mnie o delikatne dreszcze.

Prócz ręki, straciłam też ciało, o którym marzę od tak dawna. I oprócz wyrzutów z powodu malfunkcji i bólu, które wspominałam na początku, w odbiciu spojrzenia nieskończenie starszego ode mnie piachu widziałam fantomowe cienie skóry, mięśni i tłuszczu, które powinny tam przecież być. Pojawiały się chwilowo, w błogostanie snu, lecz znikwały zaraz potem, wskutek powrotu na jawę. Jak we śnie, patrzyłam na przeciekający szkarłatem bandaż, lecz nie pozwalałam mu po prostu gnić. Imię, te cholerne zaimki, włosy, rzeczy te łatwo zmienić, resztę też się da, lecz wymagać to będzie siły. Zrobię to, oczywiście, bo umrzeć nie chciałam, żeby zapamiętano mnie źle, jak tego cholernego poetę, który wykrwawił się, kartami własnych wierszy chcąc zatamować tryskające z przedramienia krwawienie; zrobię to, kiedy odwaga przyjdzie, a niech sztuka mnie nie pochłania, wymaga cierpienia, nienawidzi, lecz ledwie, bezrefleksyjnie, odbija, jak tafla przedwiecznego mędrca – tego, który czuł na sobie słońce, zanim jeszcze żebro Adama stało się Ewą.



### *III miejsce (proza)*

**Adam Krześlak**  
(godło: EVE)

**I Liceum Ogólnokształcące  
im. Jarosława Dąbrowskiego  
w Tomaszowie Mazowieckim**

#### **nie zapomnij o mnie**

Nimiego obudził budzik w jego zegarku, poczuł, jak odłączają się kable ładujące przez noc te części jego ciała, które zostały zastąpione mechanicznymi odpowiednikami, czyli w zasadzie znaczącą większość, o ile nie całość. Z trudem, który wynikał z przestarzałości wielu z tych komponentów wstał z łóżka i zerknął na swój nadgarstek, w który wbudowany miał mały ekran, przypominający mu teraz o jego dwa tysiące sto trzydziestych siódmym urodzinach. Po tak długim czasie kolejne urodziny nie miały najmniejszego znaczenia. Gdyby nie jego urządzenie, nie miałby nawet o tym pojęcia. Wykonał ręką gest, który zamykał powiadomienie, jednak na jego miejscu pojawiło się kolejne: „Na twojej karcie wspomagania pamięci zostało mało miejsca! Przewidywany czas zużycia – 11 lat”.

To była już znacznie przydatniejsza informacja, tak długie życie jak jego było mocno obciążające dla mózgu i musiał on być wspierany przez wiele urządzeń, w tym karty wspomagania pamięci, które zależnie od tego, jak wiele w życiu się działo, trzeba było wymieniać raz na 50–150 lat. Tego dnia jednak nie miał sił udawać się do magazynu, aby ją wymienić, zamiast tego postanowił dzisiaj posprzątać w swoim schowku, do którego nie zaglądał już tak długo, że na jego teraźniejszej karcie nawet nie miał związanych z nim wspomnień. Ubrał się szybko w czarny kombinezon i wyszedł z sypialni. Idąc do schowka, przechodził przez niepotrzebnie długie, białe, puste korytarze, kiedyś jeszcze wisiały tutaj jego obrazy, dyplomy czy inne nagrody, ale teraz miał ich już tyle, że niemożliwym było wybrać, które miałyby znajdować się na ścianach. Część z nich wałała się teraz po schowku, część wylądowała w śmietniku, a większość po prostu była na tyle stara, że się rozsypała. W końcu, po, można by powiedzieć

„spacerze” przez korytarze domu, dotarł do swojego schowka. Z trudem otworzył drzwi i wysypała się na niego masa gratów, których w życiu nie widział, a dokładniej nie pamiętał, żeby je widział. Przepisnął się między nie i wszedł do środka. Pokój ten tak samo jak reszta jego domu był ogromny, ale przez ilość rzeczy, jaka się w nim znajdowała, wydawał się wręcz klaustrofobiczny. Ilość pracy, jakiej będzie potrzebna, aby posprzątać w tym miejscu, była wręcz przytłaczająca mimo tego, że w zasadzie miał nieograniczony na to czas.

Po kolei wynosił wszelkie graty na korytarz, a później po kolei z korytarza wynosił je na zewnątrz, minęło już kilka tygodni od kiedy to robił, w tym czasie spał może pięć razy. Traktował to jako swojego rodzaju medytację, czynności, które wykonywał były banalnie proste, więc mógł się skupić na swoich myślach, było tak przynajmniej do pewnego momentu.

Kiedy usiłował wyjąć pojedynczy obraz ze sterty, usłyszał jak coś z metalicznym dźwiękiem upada na podłogę. Spojrzał w stronę, z której to usłyszał. Na podłodze leżał naszyjnik ze srebrnym łańcuszkiem i bursztynowym medalikiem. Schylił się, żeby po niego sięgnąć, ale kiedy wyciągał w jego stronę rękę, przeszły go dreszcze. Całe jego ciało ogarnęła dziwna sensacja, jakby déjà vu, czuł, że to uczucie nie pochodziło od żadnych z urządzeń, które go wspomagały, a z jego mózgu, a może i nawet głębiej, z duszy, o ile coś takiego istnieje. Wziął naszyjnik do ręki i zaczął się mu przyglądać, wyglądał na bardzo stary, ledwo co się trzymał. Spozstrzegł, że w bursztynie było coś wygrawerowane, wyglądało na pismo, aczkolwiek było na tyle stare, że nie sposób było się doczytać. Im dłużej się przyglądał, tym bardziej był pewien jednego, na pewno już kiedyś w swoim życiu to widział. Włożył naszyjnik do kieszeni, na dzisiaj skończył ze sprzątaniami, udał się do swojej sypialni.

Kolejnego dnia, gdy tylko wstał z łóżka, ruszył do swojej pracowni. Mijając teraz już nie puste, bo zavalone stertami zabytków ze schowka korytarze, dotarł do swojej pracowni. Był to ogromny, pewnie największy pokój w jego domu, półki na ścianach wypełnione były przedziwnymi urządzeniami, książkami i rzeczami, o których zastosowaniu już nikt nawet nie pamiętał, pośrodku pokoju stało małe białe biurko. Szukał słowników, które pomogłyby mu rozszyfrować to, co było napisane na naszyjniku. Zaczął od słownika z językiem Starej Ziemi. Poszczyściło mu się,

bo już po 2 miesiącach udało mu się zdekodować to, co było napisane na naszyjniku, była to data: 2135 rok. Czyżby naszyjnik był aż tak stary? Nimue obawiał się, że nie uda mu się nawet znaleźć jakiejś dokumentacji na kartach pamięci z tamtych lat jego życia. Wstał od biurka i podszedł do skrzyni, w której przechowywane były wszystkie jego karty pamięci, od najstarszych do najnowszych, otworzył go. Ku jego uciesze najstarsza karta była jeszcze z 2134 roku. Jednak na jego drodze stała jeszcze jedna przeszkoda, stare karty miały bardzo mało miejsca w porównaniu do tych współczesnych, aby zaoszczędzić na jego zużyciu, nagrywały tylko te wspomnienia, przy których wykrywały silne emocje, więc musiał liczyć na to, że z momentem, kiedy dostał ten naszyjnik wiązały się właśnie jakieś silne emocje. Znalazł na półce urządzenie, które odtwarzało karty, w formie można by powiedzieć, filmu.

Szybko zabrał to urządzenie ze sobą do biurka i niezwłocznie podłączył je do siebie i włożył do niego najstarszą kartę z podpisem: lata 2134–2140. Zamknął oczy.

*wspomnienie 1. 2135*

Znajdował się w bibliotece, zobaczył młodego chłopaka, siebie z przeszłości, nie miał w sobie jeszcze żadnych modyfikacji, poza wejściem na kartę pamięci w szyi. Rozmawiał z piękną, wysoką dziewczyną o bladej cerze i ciemnych włosach. Cały czas byli uśmiechnięci, a często nawet śmiali się w głos. Na widok tej dziewczyny Nimue poczuł, jak coś skręca go w środku, podobne uczucie jak to, kiedy znalazł naszyjnik, ale tym razem mocniejsze. Zobaczył jak jego młoda wersja żegna się z dziewczyną, ale zanim się rozchodzą, ta wręcza mu kartkę z jakimś napisem, chyba cyframi.

*wspomnienie 2. 2136*

Teraz widział chłopaka spacerującego z tą samą dziewczyną przez miasto, szli obok siebie, ale jakby bali się złapać za ręce. Dziewczyna powoli wyciągnęła swoje palce w stronę jego dłoni i ścisnęła ją lekko. Chłopaka coś zamroziło, zrobił się cały czerwony na twarzy, przez chwilę odczuwał wewnętrzną panikę i nie wiedział, co robić, ale za niedługo sam jeszcze mocniej ścisnął jej dłoń.

*wspomnienie 3. 2136*

Chłopak siedział z dziewczyną na kanapie w salonie, obejmując ją ręką, przed nimi stał czarny ekran telewizora, dopiero co skończyli oglądać razem film. Dziewczyna z każdą sekundą przybliżała się do chłopaka, czuł już jej oddech na swoim ciele.

– Chcesz się całować? – zapytał nieśmiało.

– Ha, ha, ha – zaśmiała się, wywołując w nim poczucie wstydu – trochę to rujnujesz, pytając tak wprost.

– Przepraszam, ja po prostu, nie wiedzia... .

Zanim dokończył, dziewczyna przychyliła się do niego, a ich usta się złączyły, ta krótka chwila wydawała się dla nich trwać wieczność.

*wspomnienie 4. 2140*

Młody Nimue stał przed dziewczyną, która była cała we łzach. Sam też ledwo powstrzymywał się od płaczu.

– Dlaczego nie płaczesz? Przecież to był twój ojciec... – zapytała go, biorąc wdech między każdym wyrazem.

Chłopak nie był w stanie jej odpowiedzieć, nie chciał po prostu obarczać innych swoimi uczuciami, swoim smutkiem. Nagle dziewczyna rzuciła się na niego, przytulając go mocno.

– Nie musisz udawać silniejszego niż jesteś, nie musisz ukrywać swoich emocji.

Chłopak poczuł jakby coś się w nim ruszyło, przez chwilę jeszcze próbował się powstrzymać, ale niedługo później poddał się i zaczął rzewnie płakać.

Wspomnienia przechowywane na pierwszej karcie skończyły się. Ekran na nadgarstku mówił Nimuemu, że jego karta pamięci wygaśnie za niecałe 6 lat. Silne emocje, jakie odczuwał podczas przeszukiwania swojej przeszłości mogły wpłynąć na to, że pamięć zapełni się szybciej, nie pozwolił jednak, by ta myśl go powstrzymała i szybko przeszedł do kolejnej karty: lata 2140–2146.

*wspomnienie 5. 2142*

Para siedziała w ciszy w parku na trawie. Tym razem była między nimi jakaś blokada, jakiś temat, którego chłopak bał się poruszyć.

– Proponuję mi udział w projekcie „finis mortis”. Uważają, że moje zdolności mogą się przydać w dalekiej przyszłości – powiedział w końcu, z jakby smutkiem w głosie – chyba się nie zgodzę.

– Dlaczego!?

– Po prostu, chcę zestarzeć się razem z tobą, razem z tobą umrzeć...

– Rozumiem, ale to jednak niezwykła okazja, pomyśl o tym, jak będziesz mógł się przysłużyć naszej cywilizacji!

– No nie wiem, będę musiał się zastanowić.

– Jakąkolwiek decyzję podejmiesz, będę cię wspierał. Obiecay mi tylko jedno, nawet jak będziesz żył setki tysięcy lat, nigdy o mnie nie zapomnij, obiecujesz?

– Obiecuję.

– To dobrze – uśmiechnęła się – jeżeli złamiesz obietnicę, to mój duch będzie cię nawiedzać – podniosła rękę do góry, naśladując zmore.

*wspomnienie 6. 2144*

Nimue siedział przy biurku przy masie papierów i próbek jakichś chemikaliów, do pokoju weszła jego partnerka.

– Co robisz?

– Pracuję nad lekarstwem.

Dziewczyna zamilkła na chwilę, wzięła głębszy oddech:

– Uważam, że powinniśmy się po prostu z tym pogodzić.

– Z czym?

– Z tym, że umrę.

Nimue zamarzył na chwilę.

– Nie bądź śmieszna, dam radę, uda nam się.

– Po prostu nie chcę, aby nasze ostatnie chwile wyglądały tak, że będziesz całymi dniami siedzieć w tej pracowni i szukać lekarstwa, chcę, abyśmy spędzali więcej czasu razem.

– Spędzimy razem jeszcze wiele czasu, po prostu mi zaufaj, dobrze?

Uśmiechnęła się jedynie do niego i pokiwała przytakująco głową, nie było jej stać na to, żeby coś powiedzieć.

*wspomnienie 7. 2144*

Chłopak, a teraz już w zasadzie mężczyzna, siedział przy jej grobie od kilku godzin. Był jedyną osobą, która jeszcze się stamtąd nie ruszyła, po-deszła do niego siostra kobiety.

– Adaliah chciała, żeby ci to dać – dała mu do rąk czarne pudełko owinięte wstążką.

– Dziękuję – odpowiedział, nie patrząc jej nawet w oczy.



Jak tylko wrócił do domu, otworzył pudełko. Znalazł tam naszyjnik z bursztyнем i kartkę z jednym krótkim zdaniem: Nie zapomnij o mnie.

To było ostatnie wspomnienie. Nimue poczuł przygniatające wręcz poczucie smutku, oparł się o ścianę i powoli osunął na podłogę. Żałował, że jego zmodyfikowane ciało nie jest nawet w stanie uronić łzy. Chciał krzyczeć z frustracji i smutku, ale nawet nie miał na to sił, wyjął tylko z kieszeni naszyjnik i jakby przytulił go do siebie. Ekran na jego nadgarstku mówił teraz, że przewidywany czas wygaśnięcia karty pamięci to 20 dni... 19 dni... 18 dni... 17 dni... 16 dni... 15 dni... 14 dni... 13 dni... 12 dni... 11 dni... 10 dni... 9 dni... 8 dni... 7 dni... 6 dni... 5 dni... 4 dni... 3 dni... 2 dni... 1 dzień... 1 godzina.

Poczuł, jakby nagle do jego świadomości napłynęła masa wspomnień tak duża, że nie był w stanie jej pojąć, aż w końcu została przerwana kompletną pustką.

#### epilog

Nimue obudził się w pokoju wyglądającym jak szpitalny, przy jego łóżku siedział nieznanzy mu człowiek, jakby czekający na jego przebudzenie.

– Widzę, że wstałeś, miałeś szczęście, że dowiedzieliśmy się o twoim stanie dosyć szybko. Minęło tylko 9 lat od twojego uszkodzenia. Na twojej karcie pamięci skończyło się miejsce i w wyniku tego zarówno sama karta, jak i twój mózg zostały uszkodzone. Mózg był na tyle uszkodzony, że musieliśmy zastąpić go syntetycznym odpowiednikiem, na który zainstalowaliśmy najważniejsze informacje.

Do Nimuego nie za bardzo docierały te słowa.

– Jeszcze jedno, znaleźliśmy to przy tobie – pokazał mu zniszczony, stary naszyjnik z bursztyнем – Wiesz co to?

Pokręcił głową.

– Dobrze, w takim razie to pewnie zwykły śmieć, po prostu go wyrzucę – człowiek schował naszyjnik do kieszeni i wyszedł z pokoju.

Nimue wyrżał przez okno. Zastanawiał się, czy którekolwiek ze wspomnień, które zostało na tamtej zniszczonej karcie i mózgu, było warte zapamiętania. Czy jest sens smucić się nad ich utratą?



### *III miejsce (proza)*

**Nadia Bartmańska**  
**(godło: Teddy Bear)**  
**Zespół Szkół Ponadpodstawowych nr 2**  
**im. Stanisława Staszica**  
**w Tomaszowie Mazowieckim**

#### **Just a short sad story**

Kiedy w końcu poczułem, że udało mi się zasnąć, usłyszałem alarm budzika. Szósta rano. Powoli otworzyłem oczy i sięgnąłem od razu po telefon. Blask ekranu oślepił mnie, więc zmrużyłem oczy, dalej przeglądając Tik Toka. Leżałem tak jakiś czas, nawet nie wiedząc, ile czasu minęło. Szósta dwadzieścia, muszę wstawać. Kiedy miałem się już podnosić, poczułem, jak siada na mnie i przyciska do łóżka.

– Zostańmy w łóżu, nie ma sensu wstawać.

– Przecież wiesz, że muszę – próbowałem się podnieść, ale oparła się mocno na mojej klatce piersiowej i przycisnęła jeszcze mocniej, czułem jak coraz ciężiej mi się oddycha.

– Nie ma sensu wstawać. Zostańmy dzisiaj w domu i tak nie masz po co wstawać.

– Przecież wiesz, że rodzice mi nie pozwolą – mówiąc to, zebrałem tyle siły, ile tylko mogłem, próbując się podnieść. Poczułem jak ciężar w piersi słabnie, wreszcie mogłem wziąć głęboki oddech. Usiadłem na brzegu łóżka, sam nie wiem, czemu nie wstałem od razu. Siedziałem tak przez chwilę, czując jej zimne ręce na ramionach.

– Nie wstawaj – powtarzała.

– Ale ja muszę wstać, po prostu muszę – Spojrzałem na godzinę. Szósta trzydzieści pięć. To wystarczyło, żebym zerwał się na równe nogi w poszukiwaniu czegoś do ubrania. Podniosłem spodnie leżące na ziemi, koszulkę i jakieś skarpetki. Dobrze chociaż, że pakują się wieczorem.

– Zobacz, jak ty wyglądasz – ponownie złapała mnie w swoje objęcia, spoglądając na mnie w lustrze. Czułem jej oddech na karku, który zawsze przyprawiał mnie o dreszcze.

– Normalnie – odpowiedziałem bez większych emocji – Tak jak zawsze.

– Jak zawsze – powtórzyła, po czym posadziła mnie na ruchomym fotelu. Okręciła mnie dookoła, po czym wysypała z kosmetyczki jakieś kremy.

– Wiesz co robić – uśmiechnęła się szeroko, przytulając mnie od tyłu. Zobaczyłem jej odbicie w lustrze. Wyglądała strasznie. Słyszałam, że tata rozkłada już talerze, więc zacząłem się spieszyć.

– Lepiej – ponownie stała za mną, przyglądając się mi uważnie. Nic nie odpowiedziałem, nie chciało mi się. Ominąłem ją, wychodząc z pokoju.

Buchnęło na mnie chłodne, świeże powietrze. Tata uwielbiał wietrzyć w domu. Zszedłem na dół. W kuchni rozchodziły się zapachy. Założyłem uśmiech na twarz i się z nim przywitałem.

– Dzień dobry!

– Cześć, cześć – opowiedział od niechcienia zajęty nakładaniem śniadania.

– Idź obudź mamę – rzucił przez ramię, nawet na mnie nie patrząc. Wróciłem więc na górę, kierując się do jej pokoju. Kiedy otworzyłem drzwi, na szczęście już nie spała. Popatrzyłem na nią informującym spojrzeniem, a ona bez słowa zaczęła powoli wychodzić z łóżka.

– Nawet się do ciebie nie odezwie – powiew zimnego oddechu na karku.

– Cicho.

– Mówiłeś coś? – usłyszałem jeszcze zaspany głos mamy.

– Nie nic... Przepraszam – wyszeptałem i szybko wyszedłem z pokoju. Kiedy zszedłem na dół, śniadanie było już gotowe.

– Gdzie mama? – tata wreszcie odwrócił się do mnie, a raczej w moją stronę, poszukując swojej żony.

– Już idzie – odpowiedziałem, siadając do stołu.

– On też się tobą nie interesuje – Nie odpowiedziałem.

Kiedy wszyscy już zasiedli do stołu, można było zacząć jeść.

– Zawsze dostajesz mniej niż inni. Ciekawe dlaczego. Może chcą ci powiedzieć, że za dużo jesz? A może szkoda im na ciebie jedzenia? Kto wie – starałem się ją ignorować. Wyraźnie nie dawała za wygraną. Poczułem ciężar na kolanach i jej rękę oplatającą moją szyję.

– Musisz zachować wagę – włożyła mi rękę pod koszulkę, jeżdżąc nią po brzuchu. Przeszły mnie zimne dreszcze.

– Nie sądzisz, że trochę przytyłeś. Nieświadomie zacząłem grzebać w jedzeniu, przyglądając mu się.

– Coś nie tak? – z transu wybił mnie głos taty.

– Nie, wszystko jest dobrze, po prostu nie jestem jakoś bardzo głodny – skłamałem.

– Jak zwykle nie jesteś głodny, kiedy coś gotuję.

– Przepraszam – nałożyłem na widelec trochę sałatki i włożyłem ją do ust. Była dobra, naprawdę dobra, jednak mimo to nie mogłem jej przełknąć. Zmusiłem się, znowu.

– Dużo przepraszasz. Zauważyłeś? To bardzo denerwujące – jak zwykle nie dawała mi spokoju.

Po skończonym śniadaniu posprzątałem i wróciłem do pokoju. Sprawdziłem, czy na pewno wszystko jest w plecaku i usiadłem na łóżku. Godzina siódma piętnaście. Zostało mi dziesięć minut do wyjścia. Ponownie odpaliłem Tik Toka i położyłem się na łóżku.

– Może jednak zostaniemy?

– Nie, przecież wiesz, że muszę chodzić do szkoły.

– Ale tam jest tyle ludzi, a ty jesteś taki zmęczony. Zostańmy tu już na zawsze, razem – starałem się już jej nie słuchać, choć oferta zostania w łóżku już do końca czasem wydawała się bardzo kusząca. Czas bardzo szybko leciał, zanim zdążyłem się obejrzeć, musiałem już wychodzić. Zszedłem po schodach, kierując się ku wyjściu. Zanim założyłem słuchawki, zdążyłem oznajmić, że wychodzę. Jestem jednym z tych w czepku urodzonych, którzy przystanek mają zaraz pod domem. Przez słuchawki leciała jakaś spokojna piosenka, nie pamiętam jej tytułu, niezbyt mnie ona nawet obchodziła. Godzina siódma trzydzieści pięć, autobus podjeżdża punktualnie. W środku jak zawsze ci sami ludzie, jadący w te same miejsca, sam jadę w to samo miejsce. Zajmuję pierwsze lepsze wolne miejsce, bo przede mną kawałek drogi. Muzyka zmienia się w słuchawkach, tak jak zmienia się widok za oknem. Pędzące miasto czasem wygląda tak nierealnie. Kolejny przystanek i kolejny, te same światła i te same zniszczone billboardy. Kiedy zdam prawo jazdy, będę jeździł naokoło, bo ten widok sprawia, że wariuję.

– Daleko jeszcze? – zajęła wolne miejsce obok, kładąc na mnie nogi.

– Przecież wiesz.

– Może będzie jakiś wypadek i się spóźnimy? Ty zawsze masz pecha, wszystko może się wydarzyć – powoli zaczęła na mnie wchodzić, oplatać moją szyję swoimi zimnymi rękoma, kiedy autobus ponownie się zatrzymał, a ja skupiłem uwagę na wchodzących osobach. Była wśród nich osoba, której nie rozpoznałem. Nowy chłopak przeszedł obok mnie, nawet nie spoglądając w moją stronę i usiadł gdzieś na tyłach.

– Jesteś niewidzialny, nikogo nie interesujesz – szeptała mi do ucha pomiędzy słowami piosenki.

Następny przystanek był mój, wysiadłem, a za mną nowy chłopak. Ponownie mnie ominął, kiedy szedłem za nim, mogłem mu się trochę przyjrzeć. Czarna bluza, ciemne luźne spodnie i plecak Nike. Idąc za nim, czułem zapach jego perfum, były mocne, bardzo mocne. Chyba też miał słuchawki w uszach. Ciekawe, czego słuchał.

– Czemu się tak nim interesujesz? – poczułem jak łapie mnie za rękę i kurczowo ściska.

– Bez większego powodu.

– I tak nie miałbyś szans się z nim zakolegować. Daruj sobie.

– Nawet o tym nie pomyślałem.

– Kogo próbujesz oszukać? Bo raczej nie mnie, nie możesz mnie okłamać. Przecież dobrze o tym wiesz.

Nie odpowiedziałem, nie było sensu i tak bym nie wygrał. Oddałem swoje myśli w rytm muzyki, idąc dalej w milczeniu. Jak się później okazało, chłopak, którego spotkałem, chodził ze mną do szkoły od początku tego roku, tylko ciekawe, dlaczego teraz zaczął jeździć tym autobusem? Może się przeprowadził, a może jeździł z rodzicami.

– Znowu to robisz – otoczyła mnie swoim uściskiem i zatrzymała za nim zdążyłem przekroczyć próg szkoły.

– Weź mnie na barana – nawet już nie protestowałem, nie było w tym żadnego sensu. Weszliśmy więc razem. Choć do lekcji zostało jeszcze siedem minut, dookoła mnie kręciło się już sporo ludzi. Starałem się ich omijać, nie lubiłem tłumów, a raczej ona nie lubiła. Kiedyś dużo wychodziłem, miałem paczkę znajomych, ba nawet dziewczynę, jednak z czasem wszystko się kończy. Nic nie trwa przecież wiecznie. Pogodziłem się już

z faktem, że ludzie przychodzą i odchodzą. Kiedy dotarłem pod salę, stanąłem przed progiem drzwi, poszukując wzrokiem Maćka, osoby, z którą zawsze siedzę, jedynej osoby z tej klasy, którą naprawdę lubię. Siedział pod oknem w słuchawkach na uszach, zawsze był praktycznie pierwszy. Wspominał coś kiedyś, że nie ma później autobusu i nie ma innego wyjścia. Wyjmując słuchawki z uszu, zacząłem kierować się w jego stronę. Witałem się z każdą napotkaną osobą, tak z uprzejmości i tylko z uprzejmości. Zająłem wolne miejsce obok niego i bez chwili namysłu wyjąłem jedną z jego słuchawek i krzyknąłem.

– Cześć! Co u ciebie!? – odskoczył, prawie spadając z krzesła.

– Boże, ale mnie wystraszyłeś – nagle na jego twarzy zagościł ten jego typowy szyderczy uśmieszek, po czym też krzyknął mi do ucha.

– U mnie super, a u ciebie!? –

I tak zaczęła się walka na okrzyki o ósmej rano w poniedziałek.

– Ale ty jesteś głośny, uspokój się – te słowa przywołały mnie do rzeczywistości, przerwały mój napływ energii, przestałem krzyczeć i śmiać się. Odetchnąłem głęboko, napawając się chwilą ciszy. Maciek był jedyną osobą, która poprawiała mi humor, zawsze byłem mu za to wdzięczny, ale nigdy mu tego nie powiedziałem. Czas na lekcjach płynął powoli, jak zawsze. Matematyka, przedsiębiorstwo, dwa polskie, biologia i trzy wf-y. Mniej więcej w połowie dnia zaczynam żałować, że przyszedłem. Chodzi za mną przez cały dzień, przypominając smutne rzeczy. Patrząc w przeszłość, nie pamiętam już czasów przed nią. Czuję jakby zawsze była przy mnie. Godzina szesnasta dziesiąta, wreszcie mogę wyjść ze szkoły. Widzę jak słońce opada, już zachód, na chwilę zatrzymuję się za bramą, spoglądając na niebo. Było piękne, delikatnie przechodzące już w pomarańcz, czułem jak zimny wiatr delikatnie muska moją twarz. Przez chwilę poczułem się wolny. Wtedy coś innego dotknęło mojej twarzy, zimne dłonie ścisnęły moje policzki. Powoli otworzyłem oczy, spoglądając na nią. Stała przede mną, wspinając się na palcach, uśmiechała się do mnie. Patrząc jej w oczy, widziałam tylko swoje odbicie. To ona zawsze przy mnie była, nawet jeśli była przyczyną problemów, nigdy mnie nie zostawiła.

– Pójdziemy na spacer?

Bez odpowiedzi dałem zaprowadzić się w dobrze znane mi miejsce. Wybrała piękną drogę prowadzącą przez park. Późna jesień pozmieniała

krajobraz w ponury i samotny. Inni mogli uznać go za brzydki, bez duszy i wyrazu, ale dla mnie był piękny. Był sobą. Szedłem pustą drogą, a moje myśli błądziły gdzieś między tymi drzewami. Czułem ścisk na dłoni i coraz zimniejszy powiew wiatru na skórze. Doskonale wiedziałem, dokąd ta droga prowadzi, powinienem się zatrzymać i wrócić do domu, powinienem wrócić na przystanek, ale nie mogłem, nie chciałem wracać. Szliśmy w milczeniu jeszcze parę minut, widziałem jak słońce zachodzi już za horyzont, zostawiając po sobie jedynie pomarańczowe smugi na czarnym już niebie. Kiedy dotarliśmy na miejsce, spojrzałem jeszcze raz w górę, wpatrując się w gwiazdy, próbowałem znaleźć w nich odpowiedź, sprzeciw czy przestrożę. Jednak milczały.

– Idziemy? – poczułem jak lekko szarpie mnie za koszulkę – Robi się już zimno. Pora odpocząć – miała rację, byłem już zbyt zmęczony.

– Pora odpocząć – powtórzyłem, po czym ruszyłem do przodu. – Dziękuję – powiedziałem bez namysłu albo raczej słowa już same wydobywały się z moich ust.

– Za co?

– Za wszystko – spojrzałem na nią po raz ostatni. Kiedy zobaczyłem uśmiech na jej twarzy zrozumiałem, że to koniec. Poczułem jej zimne usta na swoich, po czym spadłem w przepaść.



wyróżnienie (proza)

**Agata Pikoń**  
**(godło: Concordia)**  
**III Liceum Ogólnokształcące**  
**im. Adama Mickiewicza**  
**w Katowicach**

## **Dzień z życia nastolatka**

\*\*\*

Andrij tej nocy nie spał. Syreny alarmowe budziły go dwukrotnie. Zrywał się w nocy z łóżka wraz z matką oraz młodszą siostrą biegnąc do schronu położonego w pobliżu ich domu. Na szczęście tej nocy bomby nie spadły. Jednak chłopiec dobrze już poznał huk wybuchającej rakiety poprzedzony krótkim, hałaśliwym świstem. Teraz, wybudzony melodią „What a Wonderful World” Louisa Armstronga dobiegającą ze stojącego na szafce nocnej budzika, ciężko gramolił się z łóżka. Plecak szkolny spakował już wieczorem, aby nie musiał szukać swoich rzeczy zaraz po wstaniu. – Pospiesz się, Andrijek – z kuchni dobiegł głos krzątającej się tam matki. – Tak, tak, mam – wciąż znużonym głosem odpowiedział chłopak. – Już się ubieram.

\*\*\*

Andrew zauważył promienie słońca wpadające do środka jego pokoju przez śnieżnobiałą firankę. Leżał od kilku minut w swojej satynowej pościeli i nie mógł się zebrać. Chyba do trzeciej nad ranem słuchał hard rocka, grał w gry komputerowe. Potem nie mógł zasnąć. Rzucił się z boku na bok. Gdy w końcu sen go zmorzył, zaraz wybudził go alarm z iPhone’a 13. Przypomniał sobie, że dziś wieczorem reprezentacja kraju rozgrywa ważny mecz. Był zawziętym fanem futbolu. Sam też prawie codziennie grał w piłkę nożną z kolegami z klasy. Był w tym naprawdę dobry. Wujek powtarzał, że powinien zapisać się do klubu i zacząć trenować na poważnie. Rodzice byli jednak zdecydowanie na „nie”. Widzieli w nim urodzonego lekarza.

\*\*\*

Z maturalnej klasy, do której chodził Andrij, prawie połowa uczniów wyjechała z miasta jeszcze w marcu. Rodziny pozostawiały domy, mieszkania, zabierały najpotrzebniejszy dobytek i uciekały na Zachód. Dodat-



kowo dzisiaj kilku uczniów było chorych. Po sprawdzeniu obecności okazało się, że na matmie jest ich tylko jedenastu. Czuli się nieswojo przy tych opustoszałych ławkach. Niby starali się zachować dobry humor, żartować na przerwach. Jednak, w głębi duszy, wszyscy byli przygnębieni. Najgorsze było to uczucie niepewności jutra. No i strach, który otwierał swoje wielkie oczy, gdy nad miastem rozlegało się wycie syren alarmowych ostrzegających przed kolejnym atakiem. Andrij spojrzął przez okno. Chodnikiem miarowo spacerował dwuosobowy patrol żołnierzy z zawieszonymi na ramionach karabinami.

\*\*\*

– Hej, Andy – zakrzyknął John – „Napoleon” zapowiedział na dziś kartkówkę z wojny secesyjnej, czaisz? – Spoko, wyluzuj – Andrew nie wydawał się porażony tą wiadomością przyjaciela. Napoleonem nazywali historyka, który fascynował się okresem wojen napoleońskich. Cytując cesarza Francuzów, zawsze powtarzał im na lekcjach, że głowa bez pamięci jest jak twierdza bez załogi. Nie do końca jednak to powiedzenie do nich trafiało. Większość i tak wolała informatykę. John i Andy wesołym krokiem udali się do szkolnego sklepiku. Jeszcze przed dzwonkiem chcieli zapoznać się w snickersy. Gawędzili o Mary z II c, która robiła wrażenie na wszystkich chłopakach w szkole, odkąd przeprowadziła się do ich miasta z prowincjonalnego liceum.

\*\*\*

Dlaczego ta wojna? Co im zrobiliśmy? Andrij nie mógł skoncentrować się na geografii. Szukała w myślach odpowiedzi na pytania, które tak często nachodziły go w ostatnich miesiącach. Nie mógł zrozumieć, w jakim celu ludzie się zabijają. W ich dzielnicy rakietą trafiła w szpital miejski. Zginęli chorzy, pielęgniarki, lekarze. Po co to?! Co oni komu zrobili? Chcieli żyć w pokoju, pracować, wychowywać dzieci, bawić się, studiować. Wojna to wszystko zaburzyła, przerwała. Od ojca nie mieli już wiadomości od prawie tygodnia. Jako porucznik rezerwy poszedł na front drugiego dnia wojny. Andrij widział, jak matka wieczorami ociera ukradkiem łzy, nie chcąc martwić jego ani siostry.

\*\*\*

Andrew nie lubił biologii. Nigdy ten przedmiot mu nie leżał. Nie chciał wiązać z nim przyszłych planów. Dlatego, jak zwykle, uciekał myślami

gdzieś indziej. Wszędzie, byle nie słuchać o pierwotniakach i pantofelkach. Najpierw przypomniał sobie, że przedwczoraj rozleciały mu się Nike i miał sobie wybrać nową parę. Potem zaczął się zastanawiać, dlaczego Susan nie zgodziła się na wspólne wyjście na koncert Lady Gagi. Wreszcie pomyślał, że może fajnie byłoby pojechać na wakacje na jakąś wyspę, z lazurową wodą, palmami i drobnopiaszczystą plażą. Andy! – głos nauczycielki oderwał go gwałtownie od wspaniałej wizji wypoczynku. – Może powiesz nam, jak rozmnażają się nagonasienne?

\*\*\*

Widok opustoszałych ulic w centrum miasta robił na Andriju duże wrażenie. Te same arterie, kiedyś tętniące życiem, teraz prawie że opustoszały. Wszędzie pełno ludzi w mundurach. Żołnierze, straż pożarna, policjanci i co chwila przemykające na sygnale karetki pogotowia. To tutaj zwożono wielu rannych z frontu walki. Szpitale są przepełnione. Jeszcze kilka tygodni temu na dworcu kolejowym tłoczyły się tysiące ludzi uciekających przed śmiercią, która czaiła się w powietrzu, groziła im z ładu – od spadających bomb, rakiet, pocisków, od wrogich żołnierzy nierespektujących prawa międzynarodowego, a przede wszystkim prawa do życia osób cywilnych.

\*\*\*

Andrew lubił przechadzać się po centrum miasta. Zawsze pełno tu turystów, a także miejscowych, którzy zaglądają do restauracji, barów, różnych miejsc rozrywki. Wszędzie czysto, kolorowo, gwarno i wesoło. Nikt się specjalnie nie spieszy. Życie toczy się jakby wolniej. Bezstresowo. Na twarzach ludzi co chwیلę pokazują się uśmiechy, a czasem gdzieś wybuchają spontaniczna wesołość. Andy wraz z kolegami weszli do punktu, gdzie sprzedawane są bilety na imprezy sportowe. Kupili karnety na ligę koszykówki. Najbliższy mecz – w sobotę.

\*\*\*

Andrij wszedł do sklepu spożywczego. Niestety, wielu produktów nie można było od pewnego czasu kupić. W pomieszczeniu ustawiła się kolejka. Głównie kobiet, w średnim i starszym wieku. Dostrzegł też kobiety w ciąży, którą przepuścili do przodu inni kolejkowicze. – Oj, kiedy to się wreszcie wszystko skończy? – smutnym głosem zapytała babcia w kolorowej chustce na głowie. – Myślałam, że już drugiej wojny nie będę musiała

przeżywać. – Niech się pani nie martwi, zwyciężymy – odpowiedziała jej wysoka ekspedientka w białym fartuchu. – Oby tylko jak najszybciej – odrzekła babcia i wolno pokuśtykała w kierunku drzwi wejściowych, niosąc na ramieniu płócienną torbę z zakupami.

\*\*\*

Późnym popołudniem Andy miał trening tenisowy w hali. Przyjechał punktualnie samochodem, który niedawno kupili mu rodzice. Z bagażnika wyciągnął rakiety i strój sportowy. Dzisiaj mieli grać miksta. On w parze z Aną, dziewczyną z sąsiedztwa. Razem zapisali się przed rokiem na zajęcia. Razem też chodzili do liceum, choć do innej klasy. Ana była wysoką, rudowłosą i pełną humoru dziewczyną. Czekala już na niego przy korcie. Rozpoczęli rozgrzewkę, próbne serwisy, woleje, smecze. Po drugiej stronie Mike i Liz. Z „Wilsonami” w rękach. Trenują już od kilku lat. Po godzinie gry jest 6:4, 6:3 dla przeciwników. Podziękowali sobie za grę i umówili się na przyszły tydzień.

\*\*\*

To był czas, kiedy Andrij szedł prosto na zajęcia z kursu fotograficznego. Jednak kurs zawieszono po tym jak wybuchła wojna. Kiedy już dobiegnie końca, Andrij wróci na kurs i go skończy. Teraz też robi zdjęcia. Na razie dla siebie. Pokazuje je mamie. Siostrze nie, bo jest za młoda na ich oglądanie. Na fotografiach są okaleczeni ludzie, bez nóg, pozbawieni rąk, z wypaloną twarzą. To ofiary wojny. Andrij widział ich na dworcu kolejowym, przed szpitalami, na ulicach – niesionych na noszach. Wśród nich małe jeszcze dzieci. Przerażający obraz. Straszne cierpienie, niewyobrażalny ból. Andrij chce w ten sposób upamiętnić ten okrutny czas. Sprawić, aby nigdy nie zniknął z powszechnej pamięci. Bo nie może się już więcej powtórzyć. Nie może.

\*\*\*

Był już wieczór, kiedy Andrew zaparkował na podjeździe przed domem. Wyjął rzeczy z bagażnika i pilotem zamknął samochód. Mama przygotowała mu ulubioną kolację: kurczaka z grilla, frytki i sałatkę warzywną. Popił wodą niegazowaną i poszedł do swojego pokoju. Włączył komputer. Na You Tube odnalazł najnowszy utwór Sheerana. Potem w iPadzie zobaczył, co miał zadane na następny dzień. Odłożył to na później. Napisał kilka wiadomości do znajomych, kilka przeczytał. Na Facebooku nic cie-

kawego nie znalazł, podobnie jak na Tweeterze. W sumie fajne nawet jest to życie, pomyślał i uśmiechnął się do siebie.

\*\*\*

Matka czekała już na Andrija z kolacją. Siostra zjadła wcześniej i coś czytała pod stojącą lampą w rogu pokoju. Telewizor był włączony. Pokazywali najnowsze zdjęcia z pola walki. Zniszczone czołgi i transportery opancerzone wroga, jeńców prowadzonych do niewoli. Zbombardowane przedszkole, zniszczony wysoki blok mieszkalny. Potem ukazał się oficer wypowiadający się do kamery i wskazujący na pomordowanych cywili leżących w rowie, z zawiązanymi z tyłu rękami i reklamówkami na głowach. Andrij poszedł do łazienki, wziął prysznic. Na pidżamę założył swój ulubiony, bordowy dres z napisem „Michael Jordan”. Poszedł jeszcze do kuchni porozmawiać z mamą. Napili się herbaty. Potem poszedł położyć się do łóżka. Chwilę czytał. W końcu zasnął...

\*\*\*

Andrew miał super sen. Śniło mu się, że wygrał Wimbledon. W singlu. Wstał ochoczo z łóżka, ubrał się w sportowe rzeczy, zabrał torbę, założył zegarek na rękę i zbiegł do salonu. Rodzice oglądali telewizję, najnowsze wiadomości. Podeszed bliżej, żeby zobaczyć, co tam pokazują. Zauważył zburzoną kamienicę. Od rakiety. Sanitariusze wynosili leżące na noszach zwłoki zabitego chłopca. Twarzy nie było widać, cała we krwi i brudzie. Był ubrany w ciemnoczerwony dres z napisem. Dostrzegł słowo „Jordan”, drugiego wyrazu nie można było rozpoznać. – Co się stało? – zapytał zapatrzonych w ekran rodziców. – To wojna – odparł ojciec. – Dobrze, że nie u nas. – Biedny chłopak, biedni ludzie – poważnym, cichym głosem dopowiedziała matka. Andrew smutnym, współczującym wzrokiem spojrział na telewizyjny obraz, a potem na swój zegarek. Czas uciekał. Za pół godziny miał być u kolegi. W ten niedzielny poranek byli umówieni, aby pograć w koszykówkę. Sprawdził jeszcze w torbie, czy wszystko wziął. – Pa... Biegnę na kosza – rzucił w kierunku mamy i taty siedzących nadal na fotelach. – Uważaj na siebie – odkrzyknął, niemal automatycznie, ojciec. Potem, usłyszeli już tylko dźwięk zamykanych drzwi wejściowych.



wyróżnienie (proza)

**Joanna Kościecha**  
(godło: Joanna Wiktorowicz)  
**I Liceum Ogólnokształcące**  
**im. Stefana Żeromskiego**  
**w Opocznie**

## Senne Miasto

Tej jednej nocy Seattle było zupełnie obcym miejscem, choć zdawał sobie sprawę, że to tylko jego opinia.

William siedział na dachu jednego z wysokich budynków i spoglądał na opustoszałe nocne miasto. Tak naprawdę chyba nie czuł niczego. W jednej z dłoni trzymał odpalonego papierosa, którego końcówka żarzyła się ognistym blaskiem. Jego nogi swobodnie zwisały z gzymsu.

Unióśł głowę, zsuwając z niej przy tym kaptur ciemnozielonej bluzy, by spojrzeć na mieniące się milionami gwiazd bezchmurne niebo. Nieświadomie jeden z kącików jego ust powędrował w górę, tworząc tym samym pełen nostalgii uśmiech. Przypomniały mu się chwile, gdy nie był na tym dachu sam. Gdy towarzyszyła mu pewna dziewczyna, która ocaliła go przed odebraniem sobie życia. Miała na imię Laura.

\*

Pamiętał, jak pewnego dnia ujrzał ją, spacerując nocą chodnikami Seattle. Siedziała na tym samym dachu, na który teraz tak często wchodził. Przyglądała się okolicy, tak jak robił to William. I być może nie było to niczym nadzwyczajnym, lecz właśnie w tamtej chwili Laura go zainteresowała. W momencie, gdy wszedł na dach, spojrzała w jego kierunku z delikatnym uśmiechem i zadała jedno szczególne pytanie. Już wiedział, że nigdy o niej nie zapomni.

– Więc i ty przyszedłeś popatrzeć na Senne Miasto?

Senne Miasto. To określenie mocno przypadło mu do gustu. Być może dlatego zdecydował się tam zostać na dłużej. Kiedy w odpowiedzi wrzucił lekko ramieniem i skinął głową, nie spodziewał się nawet, że tym samym zgodził się na to, co stało się później.

Usiadł na gzymsie i spojrzął na nią, choć zdążyła już skierować swój wzrok na bezchmurne niebo.

Była ładna. Spięte niedbale na bok włosy miały odcień ciepłego letniego słońca, a oczy tak ciemne, że przypominały węgiel. Kaptur czerwonej, zbyt dużej bluzy zsunął się lekko z jej głowy, a w dłoni trzymała niebieską zapalniczkę z narysowanym na niej uśmiechem, którą na zmianę gasiła i odpalała.

Drugie wrażenie Williama było całkiem inne – uznał ją za dziwną. Wykazywała się zupełną swobodą przy nieznannej jej osobie. Wyglądała na taką, która darzyła zaufaniem cały świat. A przynajmniej na taką, która nie obawiała się nieznanego w kapturze, który spacerował nocą po ulicach Seattle.

– Lubię tu przychodzić – powiedziała, przerywając pstrykanie zapalniczki. Rzuciła mu krótkie spojrzenie. – Ludzie na ogół nie doceniają tego, jak nasz świat jest piękny. Toną w swoich rutynowych zajęciach i żyją z chwili na chwilę. Patrzą, ale nie widzą. Myślę, że są ignorantami. Nie potrafią zobaczyć w świecie czegoś więcej niż nerwy i strach. Nie chcą stać się taka, jak oni.

– Więc przychodzisz tu, żeby sobie o tym przypominać? – zapytał, unosząc brew. Uśmiechnęła się.

– Coś w tym rodzaju. I lubię patrzeć na gwiazdy.

– Co jest w nich takiego ciekawego? To zwykle kropki na niebie, które raz widać, a raz nie.

Byli zwykłymi dziećmi, które tak naprawdę jeszcze niczego nie wiedziały o życiu. Jednak oboje zostali zmuszeni do szybkiego dorastania w innym świecie niż ten. Innym niż Senne Miasto. Laura uciekła z domu w momencie, gdy skończyła się w nim miłość, a zaczęła przemoc. William zaś codziennie nosił ze sobą tabletki i zastanawiał się, ile jeszcze będzie ich potrzebował, by odciąć się od swoich własnych problemów.

Płomień zapalniczki znów się pojawił, by po chwili zgasnąć. Pogrążyli się w ciemności, co podkreśliło gorzkość następnych słów Laury:

– Jesteś taki jak oni. Patrzą, ale nie widzą. To przykre.

Zerknął na blondynkę, ale wydawało mu się, że bardziej interesowała ją zapalniczka niż to, co mówiła. Za to Williamowi wcale się to nie spodo-

bało. Poczul się urażony. Przecież nie chciał być taki, jak oni. Chociaż nie rozumiał, kogo miała na myśli.

– To powiedz mi, co w nich jest tak ciekawe. – Laura spojrzała mu w oczy, gdy usłyszała urazę w jego tonie głosu. Delikatnie zmarszczyła brwi.

– Każda z nich opowiada swoją historię – odpowiedziała spokojnie i chwilę szukała czegoś na bezchmurnym niebie. Wolno uniosła dłoń. – Spójrz. Czy widzisz tę niewyraźną bladą gwiazdę?

Powiedział za jej palcem wzrokiem. Skinął głową, gdy ją odnalazł.

– To Andromeda. Była jedną z najpiękniejszych bogiń. Została złożona w ofierze Ketosowi, potworowi, którego wysłał Posejdon. Miała zginąć, lecz ocalił ją Perseusz. Wiesz, co oznacza jej imię?

Tym razem przecząco pokręcił głową.

– Oznacza: władczyni mężczyzn. – Uniósł z uznaniem brew.

Miał jednak przeczucie, że nie wskazała mu tej gwiazdy i nie wyznała jej znaczenia przypadkiem.

– A ta? – Wskazał swoją dłonią na kolejny jasny punkt. Przekrzywiła głowę w bok.

– To Procjon – odpowiedziała.

– Jaka jest jego historia? – Laura posłała mu delikatny uśmiech i odpała zapalniczkę. Stwierdził, że jej oświetlona twarz była cieniem optymizmu, którego jemu już dawno zabrakło.

William uznał wtedy, że rozmawiali kilka godzin, lecz minęła noc, a oni dalej siedzieli wspólnie na dachu. Nie zauważyli nawet momentu, w którym temat gwiazd zszedł na dalszy plan. Opowiedzieli sobie o swoich zmartwieniach i złożyli obietnicę na najmniejszy palec, że tylko gwiazdy będą znały prawdę. Kiedy rozmawiali, mieli wrażenie, że znali się całe wieki. Oboje doskonale wiedzieli, że się więcej nie spotkają. Seattle to jednak ogromne miasto, a prawdopodobieństwo, że zobaczą się ponownie, było niewielkie. Może dlatego nie czuli żadnych barier.

Laura wyjaśniła mu, kim byli oni.

Kiedy tego jesienno-ranka William w towarzystwie wschodu słońca wrócił do domu, pozbył się wszystkich tabletek, które nosił niezmiennie od dwóch miesięcy w swojej kurtce. Odłożył je do pudełka na najwyższej półce w swoim pokoju. Znalazł nowy cel.

Chciał zrobić wszystko, żeby nie być jak oni.

Laura uśmiechała się delikatnie, obserwując z dachu wschód słońca. Miała przeczucie, że jej osobista mała misja się powiodła. William zaczął widzieć.

Od tamtej pory dach zaczął gościć też i drugiego obserwatora, choć i dla Laury, i dla samego Williama było to sporym zaskoczeniem. Oczywiście pozytywnym. Przecież mieli się więcej nie spotkać, zapomnieć o sobie i rozejść w różne strony.

Ale, jak widać, los miał wobec nich swoje własne plany.

Często po prostu siedzieli w milczeniu, patrząc na Senne Miasto. Pograżali się we własnych myślach, ale oboje uważali, że było to lepsze niż samotność. Czasem też rozmawiali. Sporo rozmawiali, śmiejąc się i popalając papierosy, które William wykradł tacie, a Laura podpałała je swoją niebieską zapalniczką.

Czasem płakali. Przez ciężar problemów, przez niezrozumienie, przez odrzucenie, których nie potrafili znieść. Byli jedynie dziećmi, które potrzebowały troski, uścisku i ciepłego słowa. Życie wśród tamtych było trudne, podobnie jak to w innym świecie niż Senne Miasto.

Po paru miesiącach Laura przestała przychodzić na dach. William czekał na nią każdej nocy, bez wyjątku. Patrzył na gwiazdy, przyglądał się pogrążonemu we śnie Seattle. Wiedział, że to nie Senne Miasto. Jak mogło nim być, skoro Laury nie było obok?

Pod koniec listopada zobaczył nekrolog. Laura Heather. Jego Laura odeszła, popełniła samobójstwo. Wiedział, że przygnoił ją ciężar życia wśród tamtych.

\*

Odgonił od siebie wspomnienia i cicho westchnął. Wyjął z kieszeni kurtki mocno pognieciony list, który napisała Laura przed swoim odejściem. Pewnego dnia znalazł go na wycieracze przed domem wraz z paroma rzeczami, które mu zostawiła.

Ponownie go odczytał. Robił tak w rocznicę dnia, kiedy się poznali. Tym samym oddawał jej hołd. Bo zasłużyła. Bo choć była nikomu nieznaną dziewczyną, sprawiła, że zaczął żyć jak mieszkańcy Sennego Miasta, nie jak oni.



Pisała o tamtych i o tym, że już od dawna nie potrafiła się wśród nich odnaleźć. Bała się. Często płakała. Oni nie znali litości. Kiedy William przeczytał ten list pierwszy raz, załamał się. Dopiero, gdy odczytywał te słowa na nowo, zrozumiał jej decyzję i starał się ją zaakceptować, choć obwiniał się, że nie zauważył jej cierpienia, nim odeszła.

Laura poprosiła go, by nie przestawał widzieć. Chciała, by nadal potrafił rozróżniać pogrążone we śnie Seattle od Sennego Miasta. Chciała, żeby był silniejszy niż oni. A William postanowił, że tych próśb wysłucha.

Tamtymi byli pijany ojciec Laury i jej awanturująca się matka. Tamtymi byli rówieśnicy dziewczyny, którzy prześladowali ją w liceum. Tamci to chłopak, który, nie mogąc się pogodzić z tym, że z nim zerwała, rozsypał innym zrobione jej z zaskoczenia zdjęcie. Jego przyjaciele chętnie mu w tym pomagali. Tamtymi byli ci, którzy nie chcieli i nie próbowali jej zrozumieć.

Bo oni wszyscy patrzyli, ale nie widzieli.

Tej jednej nocy Seattle było zupełnie obcym miejscem, choć zdawał sobie sprawę, że to tylko jego opinia.

William siedział na dachu jednego z wysokich budynków i spoglądał na opustoszałe nocne miasto. Tak naprawdę nie czuł niczego. W jednej z dłoni trzymał odpalonego papierosa, którego końcówka żarzyła się ognistym blaskiem. Jego nogi swobodnie zwisały z gzymsu.

W drugiej zaś dłoni trzymał list, który ostatecznie wetknął do kieszeni bluzy. Od jej odejścia minęło już pięć lat, ale on wracał w to miejsce. Wiedział, że powinien. Zawdzięczał Laurze swoje życie.

Obrócił głowę przez ramię, gdy usłyszał za sobą kroki. Zobaczył nieznanego mu chłopaka. Nastolatka, który mógł mieć nie więcej niż siedemnaście lat. W jego bladej twarzy widział odbicie siebie z czasu, gdy był jak oni. Miał na sobie ciemną kurtkę, w której kieszeniach trzymał dłonie.

William posłał nieznanemu blady uśmiech.

– Więc i ty przyszedłeś popatrzeć na Senne Miasto? – zapytał, po czym wyjął niebieską zapalniczkę z narysowanym na niej uśmiechem i zaczęła ją raz odpalać, raz gasić.

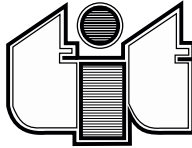




## Patronat Honorowy



## Patronat Medialny



## Patronat



Organizacja Narodów  
Zjednoczonych  
dla Wychowania,  
Nauki i Kultury

Polski  
Komitet  
do spraw UNESCO

